

KAMENA

miesięcznik literacki

ROK III

Nr

5

MIESIĘCZNIK LITERACKI

STYCZEŃ 1936 R.

TREŚĆ NUMERU PIĄTEGO:

ALFRED ŁASZOWSKI	O postawie poetyckiej Lieberta	str. 81
ALEK. BAUMGARDTEN	Nocą	„ 85
JAN BRZEKOWSKI	Marja	„ 86
JAN KOTT	* *	„ 86
ZBIGNIEW JASIŃSKI	Akwarjum	„ 87
JURYJ IWASK	Piewca Pic-Madonny i trzech alpinistów	„ 88
MIKOŁAJ GRONSKIJ	Belladonna	„ 91
HORACY	Rada	„ 94
	Do Hirpina	„ 94
	Ratunek	„ 95
	Do Walgjusza	„ 95
STEFAN NAPIERSKI	Dwie książki	„ 96
K. W. ZAWODZIŃSKI	Na marginesie artyk. G. Timo- fiejewa	„ 99
LEW GOMOLICKIJ	Na marginesie artyk. G. Timo- fiejewa	„ 99
	Noty	„ 100

Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO:
„Martwa natura”

Redakcja: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.
Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawnictwo i Administr.: Zenon Waśniewski, Chełm Lub.
Reformacka 15 B.

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki
Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 4 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 25 gr.
Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunko-
wym (niebieskim)

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 50 gr,

Tłoczono w drukarni „Kultura” Chełm Lub. 10.



k a m e n a

miesięcznik literacki

rok III

styczeń 1936 r.

nr. 5 (25)

O POSTAWIE POETYCKIEJ LIEBERTA

Przekonanie, że wspólnym źródłem liryki i zamyslenia filozoficznego było kiedyś zdziwienie wobec świata, znajduje coraz liczniejsze potwierdzenia w tekstach.

Emocja z natury swojej najbardziej bezpośrednio łączy nas ze światem i od dzieciństwa w sferze odruchów żłobi jego wczesny obraz, znacznie młodszy od tego, który w następstwie wyrzeźbił myśl.

Gdy kiedyś przyjdzie kolej na stworzenie filozofji i liryki, trzeba będzie sięgnąć raz jeszcze do tych źródeł, natchnionych niewiedzą, aby w czujnym zetknięciu się z nimi odnaleźć poetyckie nurty i korzenie zdziwienia. Eksploatowanie tej niezawodnej bazy wzruszenia stało się dla wszystkich prawie poetów Skamandra czemś w rodzaju nieoficjalnego programu.

Ta postawa, wyznaczona często jednym uderzeniem serca, musi być w imię autentyczności pozbawiona cech świadomych i wtórnych, to też, odczytując szczerze przerażenia Lieberta w zestawieniu z epigonem Bąkiem, widzimy, na czym polega różnica między kisielom a pierwszą wodą podrabianych strachów „kosmicznych“.

W pierwszym wierszu pism zbiorowych autora zaraz na wstępie dochodzi do głosu zdolność sugestywnego wyzwania liryzmu z trafnie użytej niejasności, z umiejętnie zamaskowanego niedopowiedzenia.

Wyczekiwanie anonimowej postaci, czy zjawiska w obliczu zwykłych przemian jest zarazem bezpośrednią konfrontacją potrzeb i spełnień, jest subtelnym uchwyceniem klasycznej już poniekąd dysproporcji między poetą a światem. Gdy śnieg pada w poezji Lieberta, to właściwie niewiadomo, czy są nim płatki nieba, kwiaty, pocałunki, piasek?

„Ale to wszystko niejasne“ -- myśl się splątała w zawie-

rusze, słowem: ucieczka w liryczny żywioł ciemności, zawsze coś u tego poety musi być ukryte, wieloznaczne lub bezmiennne, poezja rodzi się tu często z inwentarza rozmaitych przypuszczeń i domysłów, podmytych wzruszeniem.

Ów typowy liryzm niewiedzy ujawnia się między innymi w częstych pytaniach o charakterze napoły retorycznym. Obciążone dziedziczną bezradnością po pierwotnych przodkach mają one wprowadzać czytelnika w sferę spraw tajemnych, groźnych i nieznanych, dać mu ekwiwalent obcowania z żywiołem rzeczy, przekraczających zdolność racjonalnego pojmowania rzeczywistości. Widocznie w samej funkcji zapytywania o dylematy leży jedno z istotnych źródeł wydzielenia liryzmu, ale niemniej faktem jest, że takie zaczepianie absolutów oddawna trąci śpiżem, a więc, ceniąc Lieberta, przestańmy jednak robić... greków z chronicznie sokratycznym gestem.

Czytając tego poetę, ma się ciągłe wrażenie, że jego liryzm najlepiej funkcjonuje w sąsiedztwie aluzji do rzeczy niewyraźnych, że zapala się w starciu z nieuchwytnym, a „istniejącym niewidocznie“ wokół żywiołem.

Ten chwyt poetycki zawsze przypomina kogoś, fachowo dopingującego ciekawość lub grozę zapomocą cząstkowych i nieobowiązujących napomknięć.

W związku z kultem dla ciemnego życia tajemnic daje Liebert mocne cięgi belfrom, co „w mądrości swej okrutnej nie spojrzą nawet w okno, jak drzewa potargane pod srebrnym deszczem mokną“. Tak ich to mało wzrusza i tak im wszystko jedno, „czy liście są zielone, czy oczy smutkiem więdną. Ja nigdy ich nie pojmem i chyba nie zrozumieję, a oni mnie, to trudno, za mało widać umiem“.

Pod tym względem Liebert jest witalistą czystej, możnaby dodać, skamandrowej wody. Nad złote księgi Eneidy wyżej stawia jeden czerwcowy wieczór, a podczas uczonej dyskusji o Norwidzie róża życia wpada jak bomba między Irzykowskię et consortes. Ponieważ uczeni z natury rzeczy dążą w kierunku racjonalnego tłumaczenia zjawisk, więc tem samem ich praca stopniowo redukuje i zacieśnia poetyckie rezerwy zdziwień.

Skamandrycy nigdy zanadto nie cenili „belfrów“. Zawsze u nich żywioł górował nad książką, chociaż Wierzyński napisał „Pieśń o wynalazku“, a Tuwim w „Rzeczy Czarnoleskiej“ opiewał matematykę, zdaje się dlatego, że to była obrona przed mroczącym jego zmysły biesem.

Doznawanie przyrody ma u Lieberta niekiedy charakter wybitnie... spożywczy, jego witalizm bywa wtedy konsumpcją...

upoetyzowaną: „i my pić będziem ostrożnie słoneczne wino błyszczące, usta otworzyc szeroko, drżące rozewrzem ramiona i wchłoniem słodkie przestrzenie krwi i zbożami pachnące. Z skrzydeł schwytych jaskółek językiem zgarniem pył niebios“... str. 14. „Panie, który mnie ciszą poisz i karmisz błękitem“... str. 39. „...jelenie nieba łąkące zieleni“. „W gardło mi ziarna sypie pęknięty słońca wór“. „Różowy napój wschodu oczy ptakom przesłonił“ etc.

Ptaki nader często spełniają rolę medjów nigdy niewyżytego witalizmu poety. W tym zakresie osiągnął Liebert najpiękniejsze wiersze zbiorowego tomu, wystarczy zdać sobie sprawę z wyrafinowanej koncepcji „Muzyki porannej“. Daje tam autor „Guseł“ zgoła kapitalny ekwiwalent i genezę wczesnego śpiewu ptaków. Śpiew ani razu nie został nazwany bezpośrednio, wyraża go natomiast równoważnik barwy: „Ptaki błękit z gardziółków kroplami leją w ciszę“. Kolor dźwięku połączył się z e srebrem ciszy drzew porannych, a woń stąd powstała „ptakom języczki drapie i nowe krople dzwonią“. To sprzęgnięcie śpiewu z barwą uwieńczył niesłuchanie ostro, zmysłowo wyrażony zapach i on teraz skolei staje się bodźcem, dosadnym źródłem wyzwolenia malarskich i muzycznych pokrewieństw. Wiersz ów jest nader subtelnym wnikiem w przypuszczalny mechanizm pobudek trelów śpiewnych, obnaża wprost emocjonalne rodowody świegotu, wywodząc je z potrzeby melodyjnego reagowania na grę barw porannych.

Koncepcja ta w „Sercu Anny“ znalazła pełny wyraz liryczny. W gardziółku słowiczem pod różowem ciśnieniem koloru drży, rozgrzewa się perła już wewnątrz nabrzmiała od śpiewu „Coraz ciasniej jest w sercu i coraz goręcej“. Obserwujemy nieomal biologiczne narodziny dźwięku, wibrującego in statu nascendi pod działaniem katalizatorów barw.

Ekstazy witalizm Lieberta wyraził się w wierszu do przyjaciół zwrotką: „Od Karpat aż do Bałtyku trawy, kwiaty i drzewa do mnie niech przyjdą, bym serca ustami całować je mógł nieprzytomnie“.

„Spożywczy“ i miłosny stosunek do przyrody znajduje swój odpowiednik w żądaniach, skierowanych do niej: „Niech mnie chłonie zieloność“ str. 4. „Myślę, że mnie jak rosę wypije przestworze, że nie ziemia mnie wchłonie i nie ziemia rodzi“ str. 59.

Dwie cytaty, a jakaż między nimi rozpiętość przełomu witalistycznego. Przedtem chciał się w żywiołowej zieleni zatracić, teraz w bardzo podobny sposób przyciąga go ojczyzna niebieska.

Technika owego zespolenia w jednym i drugim wypadku prawie identyczna, czy to nie ciekawe jako przyczynek do koniecznego już zrewidowania katolicyzmu Lieberta od strony jego reakcyj dotąd nie kontrolowanych.

Zechciejmy tylko zważyć: między drogą, łączącą go z życiem doczesnym i przyszłym, niema hierarchji. Obu postaciom zespolenia brak różnicy szczebla. Uderza całkowite równouprawienie stref, w świadomości chrześcijańskiej odciętych bardzo ostro.

Dla mnie Bóg poezji Lieberta ma profil wybitnie djonijski, obrazu Jego naprzekór „Mojej wierze“ niesposób wyzuć z uroków pogańskiego piękna, jakim zapałał w „Colas Breugnon“. Mamy tam nowy rodzaj przekory witalistycznej: Bóg wypędził z raju ludzi i zwierzęta, zamiast słodkiej ambrozji przeznaczył chleb z mlekiem, a ci zamiast się gniewać, uderzyli w radość i podziękę. „Dałeś Panie kielich goryczy, myśmy gorycz zmienili w wino“. Gdzieindziej znowu okazuje się, że proces zespolenia z życiem nie jest dla Lieberta sprawą tak prostą, jakby to może z poprzednich cytatów wynikało. Otwarcie ust czy pocałunek już mu w późniejszych stadjach rozwoju nie wystarcza, poeta uświadamia sobie tragiczną rozbieżność między bytem przedmiotowym, a własną osobą, by w poszukiwaniu najściślejszej spójni znów zawezwać interwencji bożej. Jeszcze zdaje się nie wiedzieć, że to są potęgi z pod innego znaku, chociaż w „Modlitwie“ ujawnia się na chwilę przebłysk, świadczący o instynktownem przeciwstawieniu dwóch żywotnych antytez.

Liebert chciałby włączyć w siebie byt, jak wieżę ciśnięć, odnaleźć wreszcie dopływ nurtu jego prądów, ale na tej drodze ku całości bezpośrednich zespoleń wyrasta wał gdzieindziej skierowanych tęsknot, marzeń i zwątpienia, a z góry patrzą oczy Boga. Poeta zwraca się do Niego z wezwaniem „Odsuń ode mnie źrenic swych ogień i morze“. „Zabierz... tęsknotę błękitną i marzeń mych męstwo, oczu zwątpienie wieczne i ludzkie—wilgotnych“. „Wszak, Panie, z tego świata jest moje królestwo“. Wiersz kończy się apelem: „I jak duszę miłości, tak mnie wydaj życiu“. To życie jest dla Lieberta w gruncie rzeczy żywiołem pogańskim, kiedy chce się w niem pograć naprawdę, prosi Boga, aby przestał patrzeć i wyzwolił go z błękitnej tęsknoty. Z powyższej hipotezy wynika, że natura owych przeszkód jest metafizyczna, dawniej zatajony rozdźwięk stref wystąpił teraz jasno.

Łapczywość, cechująca rodzaj witalizmu Lieberta, przysłowiowa „żądza wszystkości“, rodem z klimatu Żeromskich, każe

mu dostrzec jesień, rozartą na dłoni w garsteczce zielonego prochu. „Zapisz tę porę, zapisz, bo zaraz ją utracisz“. Pozbieraj ją, pozbieraj, jak umiesz, jak potrafisz“. Z tej pasji gorączkowego rejestrowania rzeczywistości wyrósł przecież futurizm, nadrealizm, wszystkie katalogi, inwentarze, kierunki, hołdujące wiernym spisom świata. Byle tylko nic nie uronić w graficznej walce z przemijaniem bytu otaczającego! Tendencja ta wiąże się z postawą witalisty organicznie, usiłuje bowiem schwytać życie na gorącym uczynku i utrwalić jego znikomość na wieki, a pozatem celnem słowem przyswoić je sobie, i w ten sposób przez nazwę czerpać z rzeczy, trafnem określeniem wcielić w siebie ich energję, zdobywać coraz nowe źródła dla asymilacji żywiołu biologicznego.

(dok. nast.)

ALFRED ŁASZOWSKI

N O C A

Dudnią pędzące pięty boso w żelazo staccato,
zdziwione echa odpolne mdleją bezradnie u wierzb —
A cel jest zawsze ten sam,—włazi ci w oczy, jak patyk
i pociąg pulsuje nocą, zamknięty na cztery sny.

Przelata żółtym hałasem naukos, poprzez pagóry
rząd lekkomyślnych okien, przehuśtem wgórze i wdół,
trzeszczy przez wszystkie wagony nie ludzkich nocy wichura,
choć cisza leży na ustach, z krzykiem wciśniętym w krtań.

Napróżno wierzycie snom, co wam na oczach się męczą,
że się tak jedzie na noc, pod stukot sercowy kół —
oto modlitwa szyn powoli powstaje z klęczek
i uszy wsłuchane trwoży, że wagon wieje przez noc.

Aż błysną jaskrawą salwą przygasłych lampek palniki —
aż sen wam z kolan się stoczy, gdy stacja stanie u drzwi;
...wyjdę na peron sam jeden — sam z sobą, jak z Atlantykiem,
przywołam drogę do nogi i w dwójkę ruszymy precz...

ALEKSANDER BAUMGARDTEN

A K W A R J U M

Świecie ogromny i straszny, tajemniczy, senny,
 ręką Boga zaklęty w maleńkiej przestrzeni:
 w ciasnotę ścian twych czterech, w pomrocze zieleni
 zabłądził bladych przeczuć ocean bezdenny.

Pod kwadratem powierzchni, zarosłej jak błoną,
 cienie fioletowe czają się drapieżnie,
 a gdy się sztylet słońca w wodorosty werźnie ---
 — zadrży za szklaną taflą chłodna nieskończoność...

Zafaluje rozchwianie, aż zagnała przy szybie
 łeb wychynie potworny i wypukłe oczy:
 łyśnie łuską oślizgłą, skośny łuk zatoczy,
 by dać nurka w zieloną mgłę otchłani rybiej.

Złe chyboty płochliwe, migoty nieśmiałe
 prawdę sinych topielców ukazują ostro
 — i znowu cisza senna szklanym wodorostom
 prostuje powoli łodygi zbutwiałe...

A kiedy nocą księżyc urocznym promieniem
 czerną głębiną wysrebrzy,
 — zalśnią przezroczyście
 drzeń tajemne zygzaki, zatrzepocą liście
 i słyhać będzie straszne, podwodne westchnienia...

Rozbiegną się, pierzchną żarłoczne potwornie
 cienie, zaplątane w księżycowej matni,
 bo nim się promień srebrny rozplynie ostatni,
 — wypełzną drgające ramiona ośmiornic,

zaszumią wodorosty nagłym rozkołychem,
 rozchyboce się głębia potężnym przechyłem:
 w szlam zmaczonej topieli, w las roślin przegniłych
 wsiąkną odgłosy burzy — przytłumione, ciche.

Czekajcie!...

Niech powierzchnia wyrówna się gładko,
 niech muł tumanami zwolna wdół opadnie,
 a ryb bladych gromada przyczajona na dnie
 ujrzy —

czarny kontur strzaskanego statku! —

ZBIGNIEW JASIŃSKI

PIEWCA PIC-MADONNY I TRZĘCH ALPINISTÓW

Poeta Mikołaj Pawłowicz Gronskij urodził się 11 lipca 1909 r. st. st. w Teriokach (Finlandja). Na emigracji przebywał od r. 1921. Ukończył gimnazjum rosyjskie w Meudon pod Paryżem. Początkowo wstąpił na wydział prawny a następnie ze stopniem bakałarza nauk prawnych na Faculté d. Lettres i w 1932 r. na Faculté d. Philosophie et Lettres Uniwersytetu w Brukselli, gdzie pracował pod kierunkiem historyka rosyjskiego prof. Ecka. Lato spędzał często w Alpach, dokąd wyruszał przez Grenoble. Gronscy są pochodzenia polskiego. Nazwisko ich wywodzi się od rzeki Gron w byłej Galicji. Matka pisarza, z domu Słobodzińska, też pochodzenia polskiego. Ale jedni i drudzy zrusyfikowali się w najbliższym pokoleniu. Ojciec poety P. P. Gronskij jest znanym publicystą, współpracownikiem dziennika „Ostatnie Nowiny“ („Poslednija Nowosti“).

Umarł Mikołaj Gronskij 21 listopada 1934 r. (n. st.) od ran, które mu zadał pociąg podziemny. Wypadek miał miejsce o g. 7.45 wieczór na stacji metro Pasteur. W szpitalu zrobiono mu dwukrotnie transfuzję krwi; po paru godzinach zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Za życia poeta nie ogłaszał utworów nigdzie. Wkrótce po jego śmierci w „Ostatnich Nowinach“ (№ 5008) zamieszczono poemat „Belladonna“ i niektóre jego wiersze (drukowane i w innych organach emigracji). W jednym z zesłorocznych numerów poważnego pisma emigracyjnego „Współczesne Notatki“ („Sowriemiennija Zapiski“) bliska duchem Gronskiemu poetka M. I. Cwietajewa poświęciła jego pamięci wiersz, będący jednym z jej najlepszych utworów. W najbliższej przyszłości ma się ukazać pośmiertny zbiorek wierszy zmarłego poety.

Bohaterska poezja M. Gronskiego — jest ważnym wypadkiem we współczesnej literaturze rosyjskiej, osobliwym zwłaszcza jako znak czasu.

Gronskij wywodził swój rodowód poetycki od Cwietajewej, najwybitniejszej i jednocześnie najbardziej osamotnionej poetki emigracyjnej. Jej męski patos nie odpowiada większości czytelników i krytyków literackich na emigracji.

W poezji Cwietajewej „fale życia oceanu“ — żywiołu języka ludowego — uderzają o kamienne brzegi „martwych“ archaizmów (słowianizmów)*) Gronskij ma tylko nagie kamienie — archaizmy na pustej i gładkiej mieliźnie emigracji rosyjskiej. Nie jest nawet archaistą, raczej archaikiem.

„Nie jemlut czuwstwa oszczuszczenij.
 Dik umozritielnosti siej
 Lik suszcznosti prieobrazenij:
 Słuch bez uszej,
 wzgljad bez oczej...

Trudność jego słownika archaicznego i skąpa w słowa głębia myśli przypominają czasami religijno-alegoryczne poematy F. Glinki (brata kompozytora, ur. 1786, zm. 1880) i niesłusznie zapomnianego W. Sokołowskiego (ur. 1808, zm. 1839).

Wielu lepszych młodych poetów emigracyjnych traci swój wyraz i w ogólnym planie swej sztuki rozpada się na składowe części: na „chwytę“ (pochodzące np. od poety sowieckiego B. Pasternaka i jego systemu oddalonych asocjacji) lub na powierzchniowe intymne wyznania, pozbawione gorzkiego czaru wierszy Innocentego Annińskiego (zm. 1909), znawcy poezji antycznej, parnasisty i smutnego neurastenika, którego cień unosi się wciąż nad rosyjskim Montparnassem.

Gronskij przeciwstawił twardość ducha—rozpadowi, oddał wyższość kamieniom nad piaskiem. Najlepszy jego drukowany utwór „Belladonna“ albo „Poemat Pic-Madonny i trzech alpinistów“ — to biedny kamień, ciśnięty daleko wwyż i upadły zpowrotem na ziemię.

Gronskij ma wysoki patos. Patos pochodzi zawsze „z rozumu“ Patos to „zimny rozum“, przemawiający językiem serca (Dierżawin, Cwietajewa). Logiczne źródło rosyjskiej poezji patetycznej to kamienne, nagie archaizmy-słowianizmy, a żywiołowe — to żywa mowa potoczna, ciepła „ziemia wilgotna“ („syra-ziemia“), oblepiająca chłodne kształty sędziwych słów.

Młody Gronskij nie przywiózł do Paryża ziemi rosyjskiej, jak Cwietajewa do swych Meudon'ów i Vanves'ów. Cóż więc poruszyło kamienie jego poezji heroicznej? Czyż nie epoka, wszędzie ta sama tych samych „bezskrzydłych wodzów“ **) i „skrzydlatych niewolników“ (taki kształt nadała myślom moim w liście M. I. Cwietajewa). Czyż nie ona to wstrząsa jego twardemi wierszami o alpinistach, lotnikach, marynarzach, jego dytyrambami, poświęconemi „kochankom śmierci“, „kawalerom śmigłych gór“?

W poemacie swym Gronskij zwraca się do Madonny i patronów alpinizmu Bernarda i Krzysztofa, ale ostatnia nadzieja — polegać na samym sobie. Oto słowa jednego z alpinistów nad trupem roztrzaskanego w górach towarzysza:

„Rozchlustam krew i kości skruszę,
 w dzień sądu nie drgnę na głos trąb.
 Wybawię twoją żywą duszę
 lub martwe ciało wyrwę stąd”

A ostatnia ucieżka: honor.

„...Więc po progach
samemu honor każe iść”

I człowiek dopóty jest sławny i silny, —

„dopóki stoi świat pod Bogiem,
dopóki sławę trąbom nieść
surowem, twardem jednym słowem,
światlanem, suchem słowem: cześć”

I nasza bezcelowa i heroiczna epoka żywa i sławna jest przez to, co usłyszał w niej nie usłyszany przez nią Grons kij. Wiem, że dla większości i sam poeta i te skąpe słowa o nim to pusty dźwięk. Głusi są zarówno ci, co zachwycają się naszą epoką, jak i ci, którzy ją demaskują. A nowa Sparta, sucha i świetlana, sama powinna stanąć w swej obronie i w najbliższej przyszłości, i jeśli jest wieczność, to i w niej.

XIX wiek był tchórzliwy, ale był mądrzejszy od naszego.

XX wiek jest głupszy od minionego, ale jest śmiały i rozrutny: nie boi się cudzej krwi, ale nie ulęknie się i widoku własnej. Można i powinno się walczyć z wielu przejawami ducha naszych czasów, ale dlatego trzeba żyć życiem naszego wieku, i przyjąć — najlepsze i najlepszych „w dolinach braterstwa i miłości”

JURYJ IWASK

*) To jest wyrazów cerkiewno-słowiańskich (lub starobułgarskich) i wyrażań w języku rosyjskim. Archaizmy, znowu powołane do życia przez Cwietajewą, były przedewszystkiem charakterystyczne dla poezji rosyjskiej XVIII w., stworzonej przeważnie dzięki wysiłkom Łomonosowa, Dierżawina, Bobrowa. Całe dzieje rosyjskiego języka literackiego są w istocie dziejami zaciętych walk i dłuższych lub krótszych pertraktacji pokojowych między słowiańsko-rosyjskim językiem książkowym mnichów-poetów Akademii Kijowskiej XVII w., która uległa silnym wpływom kultury polskiej, oraz ich zlekka zniemczonych i sfrancuziałych uczniów XVIII w z jednej strony, i mową ludu moskiewskiego, u którego się uczył Puszkina, („moskowskaja proswirnia“) z drugiej.

**) Wyjątki to rzadkość.

*Czas odnowić prenumeratę za drugie
półrocze (2 zł. 25 gr.)*

B E L L A D O N N A

(Poemat Pic-Madonny i trzech alpinistów)

DEDYKACJA

Słysz w noc z bezsennej mojej ziemi
do innych krain mknących słów,
Madonno, Pani tych przestrzeni,
wysłuchaj mych palących ust.
Daj posłuch psalmom mej rozpaczy,
zgiął żal, płynący z ziemskich tucz,
Ty, która nawskroś w dale patrzysz
obszarów innych — mieczem ócz.
Niech nieśmiertelny słuch przenika
śmiertelny głos z otchłanych dróg
tego, co skał kolanem tyka,
skrzywiony dzierząc dłońią róg,
róg towarzysza wypraw hardych,
czekana alpejskiego stal.
Niech święty Krzysztof i Bernardyn
oczyszczą modłów moich żal.
Tam czyta runy księżyc białe,
tam w róg olbrzymi dmie duch gór.
Na podłonecznym globie całym
czczę kraj jedyny, gdzie zwał chmur,
gdzie wichry, śniegi, mgły i hale,
strzelistość skał, otchłani pion,
obszary, ziemie obcych dale,
brzeg horyzontu, nieba dzwon.
Gdzie wszystko górne — jak w tym
znikome wszystko i jak tam
jest nieśmiertelne... [świecie

W ruinach gentyjskich włości,
w krainie granitowych mas
mleżącej śniegi samotności
w surowej ciszy pełnią straż.
Nad cyrkiem Włóczni górskalistych,
nad taflą trzech jeziornych mis
Niepokalana śniegów czystych,
władczyni tych niezłomnych spis,
kamienną pieści swą prawicą
wciąż granit chrystusowych lic —
powyżej ptaków szczyt dwulicy,
górskiego grzbietu groźny szpic.
Monolit tkwi za monolitem
w porfirach postrzępionych szkarp,
granit się dźwiga za granitem,
wpatrzony w gre jutrzemki barw.
Tumanów siwych boża sława,
kraina śniegu, głaźnych snów;
Madonny widmo w niebie stawa;
jak myśl obłoczny płynie huf.
Madonny postać nachylna
nad lustrem wód i wieczny krok,
obłoków krok nad Belladonną,
idących wciąż za rokiem rok.

Porwany z nagła czarną trwoga,
powietrze sygnał ostro tnie,
gdzie alpinista kusi Boga,
kochanek śmierci gdzie się pnie.
Ruszają w niebo karawany

wstępować pod niebieski zrąb,
oglądać w pion skrzesane ściany,
sondować gór przepastną głąb.
Od czasu, gdy pod lodu dzwonem
Bóg tych karawan słyszy krok,
dwóch tu umiera górskim zgonem,
umiera wciąż za rokiem rok.
Wdół! Rwać różaneczніка kępy.
Wdół! Z głazem, który zawiódł dłoń,
rwać jelił splot i żył na strzępy
w powietrzną toń, w przepastną toń.
I trupa nigdy się nie pozna
w pustaci tej wśród skalnych kłów,
gdy po spełnieniu strasznych doznań
duch ma do żywych wrócić znów.
Zmysł żaden nie odczuje wrażeń,
zamknięty na dziesiąty klucz;
by pojąć sens tych przeobrażeń:
bez uszu słuch i wzrok bez ócz,
lecz w potwierdzeniu zaprzeczenia
jak w morzu tonie. Pusty mózg.
A wiersz w proroczym swem widzeniu
harmonię czuje w zmysłach—bóstw.
I znajdzie.

Wichrów, skalnych trzonów
poemat — martwych, żywych sfer.
Już drży, kołysze się załona,
niemieją wargi, milknie wiersz.
I z katalogu śmierci ścisłej
— Graj — uroczyście słyhać chór.
Oddechem rytmu wtórcie, wichry!
Wtóż głośno rymom, echo gór!

1

Z dzwonieniem dzwonów z górskich [stoków
przez aniołowych modłów szept
wieczornych mroków płynął spokój.
Li ołtarz-szczyt w jarzeniu krzepł
i na wysokich śnieżnych żłebach
tej ciszy święty ogień strzegł.
Doliny mgła, zstąpiwszy z nieba,
do snu tuliła. Jezior trzech,
u stóp drzemiących Belladonny,
już pociemniała sina gładź
i zdało się w powietrzu chłodnem
czasowi Bóg nakazał: stać.
Noc opóźniała się niemrawa,
wysoko kwitł promieni wąż.
I wtem zadrżała niebios brama
i dał się słyszeć nagły wstrząs.
Przez całą przestrzeń tej pustyni,
przez obszar niewidzialnych dróg,
trąb archanielskich echo płynie,
wieszczące światom wielki Bóg,
Czas jasny był i głos grzmiał z siłą.
Lecz w pełnię praw swych z echem [wraz
szedł górski wieczer. Trzech ich było
i wszyscy w górach pierwszy raz.

Szli. Na przełęczy krok ich ustał.
Cyrk im wyrastał tuż z pod nóg,
przy paszczy paszcza,—gardziel pusta.
Rzekł jeden z nich: — „Wysoko Bóg“ —
„Więc drogą wal mahometową
do amatora wyżyn wwyż“ —
Znów idą. Nagle im nad głową
jak człowiek zamajaczył krzyż.
„Już będzie 5.000 prawie?“
„Tak“ „Gdzie Madonna?“ — „O, ten
[szczyt“
„I djabeł teraz nie potrafi
wleźć na kobietę“ — „Przestań, cy!“ —
„Kto z was wie, która jest godzina?“ —
a echo w górach pierwsza już.

Już dawno zachód we krwi spłynął
i zgasł anielskich oczu zmrz.

Zawrotu głowy władca mroczny,
tropiciel śmiazków: przestrah mdły,
mocarny demon pokus ocznych
na szczytach knuje zamysł zły.
Tam grań ostatnia trzyma wartość,
tam ostry wicher się zrywa z leż,
zastygłe dale i otwarty
horyzont zewsząd wzdłuż i w szerz.
Daj, czytelniku, dłoń ostrożną,
nie myśl, że ze mnie nędzny stwór,
w szlachectwie śmiazków ród mój

[możny,
jam jest kawaler śmigłych gór.
I byłem tam. Gdzie otchłań ziele,
roz warta z wszystkich czterech stron,
gdzie świszczą gzymsy, zamieć wieje
i strasznie blisko nieba dzwon.
Więc śmiało! Kamień chwycił do ręki,
lecz tak, byś ścięgną słyszał chrzęst,
z rozmachem wdół. I słuchaj dźwięku.
Czy słyszysz? Tam, wśród skalnych
[gestw,

oto rozległo się, ozwało,
oddalo echo, huczy głąb
i drży korytarz górskich zwałów,
brzmi bazalt, grzmi granitu zrąb.
Lecz ciszej, ciszej, głuszej, głuszej
lejący kamień w otchłań gna,
tam milkną głązy, giną dusze.
Tam cisza, głębia, spokój dna.
— Do djabła! Lodowicy postać
nie życzę nawet, by znał wróg.
Kto chęć ma, może tu pozostać:
co do mnie — szukam zejścia dróg”

2

Na szczycie cisza. Chłód na grani,
a ciemność darła się przez piarg,
z ponurych wlokąc się otchłań.
Rozkleił młodszy pieczęć warg.
Dręczące w nogach osłabienie,
najpotężniejszy w oczach lęk,
lęk gór, straszliwe naprężenie,
przy zgięciu ramion cichy jęk.
Rzekł: „Ołów nogi moje szarpie.
Spójrz, przyjacielu, nadół, spójrz:
to Belladonnai wszak są szkarpy,

najbliższa droga tu — i już.
Czy słyszysz—szeptają wodospady?“ —
Podpełznął, spojrział w czarny loch:
za szkarpa szkarpa w głąb zapada
i nagle krzyk okropny — Ochl..
Tu strach oczami jego targnął
i wszczął się w górach wściekły huk,
ruszyły z miejsca swego piargi,
runęły głązy. Dęło w róg
rozgłośnie echo jak organy
i orkan poprzez skały grzmiął
i siał odgłosy groźne ścianom,
aż granit się z bazaltem śmiał.
Lecz milknie kanonada echa.
Rzekł drugi: „Rzucieć nadół sznur
i spuszczać się“ — a śrutu śmiechem
grzmiął jeszcze głuchy pomruk gór.
No, wdół! Niezręcznie sznur upina.
Drży ręka. Jak na lodzie koń
ślizgają nogi się, — a lina
palącym ogniem ściera dłoń.
Lecz występ. Dwóch ich na występie,
wiatr ledwie muska włosów gaszcz,
odetchnąć można, tebu zaczerpnąć,
lecz lina mocniej ciśnie wciąż.
Więc niższy: „Schodźmy w pojedynkę,
do djabła z liną“ — nożem znak.
A drugi: — „Stój“ — „Za późno, synku,
na dwóch już śmierć, czy tak, czy
[tak”.

W szczelinach skryty nadobłocznych,
w bazaltu głązach czając się,
zawrotu głowy władca mroczny
świst przeraźliwy w otchłań śle —
to górski strach upadku sygnał,
co świstem mierzy nagły cios,
by głązy z leży w przepaść wygnać,
a wtórzy jemu echa głos.
Gwóźdź po kamieniu tylko zgrzytnął;
zawisnął, schwytał się za gzyms,
w przepaści noga, ręka chwyt ma,
chce w bazalt wrosnąć razem z nim.
Krzyknawszy runął. Wszystkie zmysły
zmieniły osie: lekko tak,
rachunek duszę zawiódł cisły, —
cyrk leciał prosto nań jak ptak.
I w tem walącym się sklepieniu
Erebu skamieniałych nieb
wspaniałym i bezpłodnym cieniem
niósł ciało swe przez czarny żleb
obelisk wielki — złom bazaltu.
Ostatek wysłał sił do nóg
i nagle się zachwiały Alpy:
już teraz się przewracać mógł.
Wirują sklepy: ten niebieski
i Alp kamienny, nagi sklep.
Sto metrów pionu śnieżne deski,
ostatni obrót — ciała strzep
i grzmotnął. Wlokąc grad kamieni,
podskoczył (martwy), wrył się w próg.
Echo zbudziło się wśród cieni,
za rogiem groźnie trąbił róg.
I tylko wdole trup skrawiony,
zdeptany leżał niby wiór,
w bezdennym grobie Belladonnai,
w grobowcu tym kochanków gór.

Obdarty z skóry i mięs, nieszczęśny ochłap, krwawy barszcz. Złamane kręgi — nagi tułów, a z czaszki tylko skurup garść.

3

— — — — —
Wysoki, czysty i przejrzysty alpejskiej nocy krzepnął mróz, szły gwizdy, świsty i poświasty przez samotności skalny gruz... To alpinista, żyw, bezbronny swój sygnał kłęski żywym słał. Chichotał wciąż cyrk Belladonny, łomotał grzmot w odmetach skał.

4

Objata nocy się spełniła i zadrżał wszystkich ozon gór. Jak z poza sinych mgieł kadziła Madonny postać wyszła z chmur. To Bóg samotny w gwiazd obszarze wychylił twarz z niebytu stron i błysły ogniem Spis ołtarze od tronu po ostatni tron. Śmiertelnych uszom niedostępne, bez ust, oddechem żywym snów serafów skrzące się zastępy wyrzekły światom: Wielki Bóg. Samotny, w pustce, bez pomocy, a gwizdka otwór cały w krwi i krew na ustach. Dar tej nocy: u lewej skroni wyżej brwi lśni kosmyk włosów jak szron [białych,

to mroźna strachu dłoń tu szła, a oczy — puste lodowały: minionej nocy lustra dwa. „Rozchlustam krew i kości skruszę, w dzień sądu nie drgnę na głos trąb. Wybawię twoją żywą duszę lub martwe ciało wyrwę stąd.“ Z powrotem — łatwa zgola droga, lecz pogotowie zdąży przyjsć dopiero na noc. Więcy po progach samemu honor każe isć. Wpijając ręce w szpary skalne, wrastając w kamień — tak nawplask, jał schodzić. Ręce nie drżą wcale, wytrzyma lina, twardey głaz. Bezsilne siły przyciągania, tak mocne mięśnie smagłych rąk. Ten, co zwyciężył lęk otchłani, nie spadnie: ma pajaka krok, jaszczurki chód. W kamieniu twardym, do skóry twarzą, tyłem w głąb. Niech święci Krzysztof i Bernardyn bezpiecznie wyrwą ciebie stąd. Dno. Wwyż spłynęły skalne prog. Tak, strach go nie zmógł. Nie dał Bóg. Czworonóg znów się stał dwunogim. Wstał. Zachwiał się. Lecząc stanąć mógł. Oczami mierzył cyrku ściany, był wąski stąd horyzont gór.

Wjazd rozemknięty tu areny:

wschód był otwarty — prosto wdół. Po zmarszczach skalnej mknąc moreny przez hale — fale żywych łąk, przez kosodrzewia gibkie pnące biegł, jakby parzył każdy krok. Już domy! Lecząc niezamieszkałe. Ścieżynka. Już przepadała perć, pod kamieniami się schowała... A głuza — jakby przeszła śmierć. Wokoło cisza snem ujeta. Czy w uszach dzwoni? Czy tu gdzieś? Bernardzie święty! Za zakątem, Mollard — widnieje, górską wieś.

Częcę wielkość twą i twą odwagę, częcę śmiałość rąk, dzierzących sznur. W rozbrzęku strun zgasiemy sagę alpejskich gór.

E P I L O G

Jam biedny: słowo skarb mój święty, istnienia karm i bytu treść. Niech wiersz ten skałą testamentu o bohaterstwie głosi wieść. Niech odtąd będzie między nami jedyny dźwięk — zamarył w pół, milczący okłask: ruch rękami, wzlot prawic, sięgający czoł, by oddać cześć. Miljony znaczeń, lecz jeden sens — (leksykon łące) Z najrozmaitszych tych tłumaczeń wybieram trzy, wybieram trzech. Przyjmuję więc stokrotnie, czysto jak w kryształ sfer bijący młot, jak górski grzmot — słuch alpinisty w kanałów usznych błędny splot. A u lotnika — jasno, sucho jak wiatru świst, jak skrzydeł szum, nie w organ, lecz w organy słuchu organy napowietrznych strun. I tak wspaniale, dziwnie głucho jak strzał, z dalekich mknący wód, jak plusk — rozbrzmiewa w muszlach

[ucha u marynarzy życia cud. Dopóki statki pod żaglami i samoloty w głębiach chmur i stał czekanów tnie ostrzami dziewiczy śnieg alpejskich gór. Cześć wieczna! póki pluszcze morze a wichry w niebie wiodą tan i gromy biją w skał bezdroża, a przez nie groźnie mówi Pan. Dopóki stoi świat pod Bogiem, dopóki stawę trąbom nieść, surowem, twardem, jednym słowem, świetlanem, suchem słowem: cześć.

Wysłuchaj w noc z bezsennej ziemi do innych krain mknących słów, Madonno, Pani tych przestrzeni, wysłuchaj mych pałacowych ust. A gdy i mój czas też nastanie i zwali z gór mnie błędny krok, o, Belladonno, miejsce tych Pani, błogosław strzępom moich włosów.

„PIEŚNI“ HORACEGO W INTERPRETACJI

R A D A

Nie dociekaj, bo nie dociec tego ludzkiej głowie,
jaki koniec mnie czy tobie znaczyli bogowie.
Precz kabała, w babilońskim łącnie zbłądzisz lesie:
słodziej ufać przeznaczeniu, cokolwiek przyniesie.

Czy nam więcej, czy nam Jowisz zimę da jedyną,
co dziś morze wichrem porze, cedź, dziewczyno, wino!
Gawędzimy, a godziny czmychają zazdrośnie:
rwij, co rodzi dzień, nie żałuj, nie dowierzaj wiośnie!

D O H I R P I N A

Co zuchwałe Kantabry knowają i Scyta,
nie dociekaj, Hirpinie, ani troszcz się o to:
mórz osłania Italję głębia niezdojta,
a życie tak jest krótkie, jak południa złoto.

Przecwałowała młodość i młodości krasa
i już nam sucha starość sen z powieki płoszy,
już złotoskrzydła miłość u nas nie popasa
i zdrowej się nam gałąź nie kłoni rozkoszy.

Cóż? Niezawsze roślina kwiatami się jarzy,
niezawsze zrumienione jest lice miesiąca.
Za słałbimy, by iść, co się tylko marzy,
i nie człowiek wieczności berłami potrząsa.

Czemuż tedy pod rosłym nie usiąść platanem,
nie usnąć niepokojów pod namiotem sosny?
Nuże, siwiznę kwieciem uwieńczmy różanem
i niech nam Bakchus cieczy nie skąpi radosnej!

Ta bo najpewniej troskę wytraca kąśliwą.
Hej, chłopaki, falernu! Niech tam który skocz
i ogniste puhary przygasi, a żywo,
talami, co je potok niedaleki toczy.

Po łaskawe też ciałko niech który pogoni,
po Lidę! A poprosisz, by z lutnią kościaną
przybyła, lecz bez ozdób zbytowych u skroni,
z burzą włosa w lakoński węzeł uczesaną.

T A D E U S Z A B O C H E Ń S K I E G O

R A T U N E K

Sroga macierz Kupidyna
i tebańskiej syn Semeli
znów się o mnie upomina
i osierdzie mi popieli.

Czar Glicery w oczy moje,
nad marmuru gładkość gładziej,
płomienistym płynie zdrojem:
ginie człek, a jeszcze patrzy.

Huraganem na mnie spadła,
Cypr rzuciwszy, Afrodyta:
ni mię perskich strzał żegadła,
ni zuchwały natchnie Scyta.

Tu mi, chłopcy, darń zieloną
i gałęzie znieść, a mnóstwo!
Spłynie moszcz, kadzidła sponą,
złagodnieje srogie bóstwo.

D O W A L G J U S Z A

Niezawsze deszcz na pola z czarnych ciecze chmur,
niezawsze wicher wody kaspjskie wydyma,
niezawsze lód armeńskich gniece barki gór
i niezawsze się zima na dąbrowy żżyma.

Ty, Walguszu, żałosny wciąż zawodzisz śpiew
i Mistesowej marze wzbraniaś odpocznienia:
ani cię zórz wieczornych opamięta krew,
ani urok rosistych poranków odmienia.

Pilijski tak nie płakał Antylocha dziad,
łez tylu nie wylały o Troila siostry,
kiedy w burą kurzawę młodzieniaszkiem padł
i grot go Achillesa przedziurawił ostry.

Porzuć niemęskiej skargi roztajały strój
i razem nowe łupy śpiewajmy włodyki,
co skalisty zatrwożył blaskiem rzymskich zbrój
wierch Nifatu i Medom grzbiet wysmagał dziki.

Oto już nie grzmią fale Eufratu jak lwy
i mniejsze toczy wiry buntownicza rzeka.
Scytów horda w popłochu tuli końskie łby
i w darowane dale co duchu ucieka.

D W I E K S I A Ź K I

Mieczysław Braun, *Żywe stronice*, Warszawa, 1936, F. Hoessick, str. 65 i 3 nl.

Mieczysław Braun (trzeba akcentować imię własne, bo jest dwóch poetów tego nazwiska) po wydaniu kilku tomów wierszy, przyjętych naogół z uznaniem, zamilkł od lat pięciu. Dłuższa ta pauza dosyć posłużyła jego twórczości. Zebrane poezje, powstałe, jak informuje notatka końcowa, niemal wyłącznie w roku wydania książki, są prawie wolne od retoryki, psującej zbiory poprzednie. Rzecz inna, że sama poezja nie przestała być nadal werbalistyczna; tak czy owak, znać tu znacznie większe pokrycie wewnętrzne. Ton refleksji, zadumy nawet, jest czemś nowem u Brauna, i świadczy o późnem, lecz wytrwałem dojrzewaniu. Tę kurację milczenia należałoby zaiste polecić wielu poetom, zwłaszcza najmłodszym, palącym się do druku, niepomnym zasady, iż wiersz winien się „jak figa ucukrować i uleżeć“.

Refleksyjność Brauna w tomie obecnym wprawdzie zadržą często o banalność, nie wytrzymuje, słowem, napięcia, lecz zdobywa się również na wykrystalizowanie, na dobitność i wyrazistość ekspresji. To zwłaszcza zaleca sonety przy końcu drukowane tomu. Jest tu poza tem szereg wierszy na wcale wysokim poziomie, zaśmieconych, niestety, rekwizytami, przejętymi z poprzedniej fazy pisarskiej; do takich zaliczyć wypadnie wszelkie Tokja i Jokohamy, bardzo zużyte i nadużyte, „egzotyzm“ w rodzaju palm i ljan, szablony słów w rodzaju: umizgi, śmigły, wreszcie epitety czeze, przypominające pseudo-klasyków: łagodne (owce), głodne (wilki), cierpliwe (konie), stubarwne (motyle) i t. p. Dowód to, iż utalentowany poeta ułatwia sobie zadanie za pomocą truizmów, których łatwo przecie uniknąć. Wogóle pracę psuje mu nadmierna biegłość wersyfikacyjna, wyrosła z organicznej trzeźwości, która winna go raczej predysponować do prozy. Jest to bowiem poeta świata z e w n ę t r z n e g o i tem osobliwsza jest jego refleksyjność; chrześcijanin powiedziałby o jego niepokoju i rozterce wewnętrznej, iż jest to pisarz „nieodkupiony“, miotający się między błaganiem a wygrażaniem, głoszący religję pychy i rozpacz. Dlatego dydaktyzmowi jego tak trudno zdobyć się na pokorę, ten fundament — zwłaszcza w liryce — istotnej harmonji artystycznej. Sama technika wierszowania bardzo jest tu urozmaicona, lecz pozbawiona własnego stylu; Braun, nie wiedząc o tem, ciągle jeszcze jest eklektykiem. Dlatego tak wiele spotykamy tu wpływu osłabionego nieco Tuwima, do jego dytyrambiczności

włącznie. To dobrym tym skądinąd wierszom grozi już nietylko brakiem oryginalności, lecz nawet papierowością. Plastyka niekiedy jest wyborna, lecz mało jednolita: w jednej strofie spotykamy obrazy wzajemnie wyłączające się; typowa jest pierwsza zwrotka „Łyzeczki nieba“, gdzie owa łyżeczka nieba zatopiona jest w czarnym stawie, poczem wiatr marszczy twarz, a wreszcie poeta rozmyśla, czemu dzień smutny jest jak wiołonczela. Stwarza to całkowite zmętnienie widzenia w percepcji czytelnika. Bardzo ładna z zamieszczonych tu wierszy jest „Notatka“, nienagannym utworem „Na tej wyżynie“, piękny bardzo „List“, a zwłaszcza arcydzieło prostoty „Do ciebie“. Inne mają tu i ówdzie wybijające się ponad przeciętność pojedyncze strofy. Większy krytycyzm w dobieraniu ładnie brzmiących zdań pozbawiłby Mieczysława Brauna rezonerstwa, a tem samem w niedalekiej przyszłości przyniósłby nam książkę pełnowartościową, której mamy prawo po nim oczekiwać.

Aleksander Rymkiewicz, *Tropiciel*, poemat, Wilno, Związek zawodowy literatów polskich, str. 24.

Najmłodszy z żagarystów wileńskich, odznaczony przed dwoma laty na konkursie poetyckim „Wiadomości Literackich“ za fragment, włączony do niniejszej książeczki, debiutuje oto zupełnie niezwykle. Przedewszystkiem nie jest to zespół liryk rozproszonych, jakich zwykle oczekuje się od początkujących; przeciwnie: podtytuł „poemat“ ma tutaj pełne uprawnienie. Jest znamienne i bardzo dodatnie, iż młodzi poeci coraz częściej rezygnują z „małych prztyczków“ (jak zwie to Witkiewicz) na korzyść całościowych kompozycji, wymagających szerszego oddechu. To eksperyment, pełen odpowiedzialności, zazwyczaj miano takie dostaje się utworom, na to nie zasługującym, lecz w danym wypadku natchnienie sprostało ambicji, owo natchnienie, które świadczy o jednolitości biologicznej młodego autora, a poprzez niego — generacji, którą mimowoli reprezentuje. Nareszcie widzimy przed sobą istotnie nowy typ przeżywania, czystszy, bardziej nieubłagany, wrażliwy i wyzbyty kompromisu, inaczej mówiąc, wyzwolony z najdalszych choćby śladów chaosu, jaki pozostawiła wielka wojna. Jesteśmy świadkami wielkiej przebudowy psychicznej.

Poemat składa się z siedmiu pieśni. Są to w istocie mityczne rapsody, nieprzypadkowo ząbające się o „Króla-Ducha“, którego kilka zdań przytoczono w formie motto w nagłówku jednej z pieśni. Autor sięga do pradziejów życia organicznego na ziemi, by zaraz potem przerzucić się śmiałym łukiem ku narciarzom i zdobywcom polarnym dzisiejszości, by wykreślić mit własnej młodości. Jego nastawienie jest nawskroś twórcze,

każdy brzask jest dlań jakby świtem nowej kosmogonji, kiedy ziemia na nowo, jakby raz pierwszy, dźwiga się z powłoki nicości; na to pierwotne istnienie czyha, opłyniony przezeń i bezradny, ów tytułowy „tropicieł“, „genjalny dziwołag“, monstrum metafizyczne, przypominające koszarne, szczytne i okropne zjawy z poematów Williama Blake'a. Wraz z Blake'iem dzieli autor postawę kreacji, niezmiernie rzadką u dobrych nawet liryków.

Owszem, są tu ustępy, równające się logogryfom, splątanej jakiejś abrakadabrze, ale i ta sycona jest niezwykle sugestywną wizyjnością, tak silną, iż ośmielę się twierdzić, że podobnie intensywnej nie znaliśmy od czasu zamilknięcia Micińskiego. Widzenia te są świetne w swym epickim tragizmie, wypukłe i razem niedopowiedziane, jakby oblane śnieżnym blaskiem jakiegoś nadprzyrodzonego słońca. Niektóre z tych jawnie i, jeśli uwzględnić nieodzowny ich irracjonalizm, jasno komponowanych halucynacyj są za mało dystansowane, riedość odsunięte od zapatrzonej źrenicy, by móc, pomimo urzeczenia, odnaleźć kształt naprawdę jednoznaczny i nieodzowny, ogład dokładny i baczny; nawet widzenia bowiem podlegają prawu perspektywy, jeśli zalać nie mają widzącego niedostatecznie kontrolowaną fałg. Lecz to jest wreszcie przywilej młodości: uleganie nadmiarowi, zbyt hojne szafowanie własnymi możliwościami.

Niezależnie bowiem od tego Rymkiewicz w znacznym bardzo stopniu, jako urodzony poeta, posiada instynkt budowy, który stwierdzić można na pojedynczych choćby zdaniach; tylko podszept inspiracji dyktuje choćby takie zdanie, doskonałe w zestawieniu dźwiękowym i obrazowym: „Kto błogosławił bory, ponury tak bardzo i piękny?“ Przejmująca, nawskroś autentyczna jest melancholja tej księżeczki, melancholja, jeśli rzec tak wolno, dynamiczna, która znamionuje zawsze silnych, w świat wstępujących; jakaś melancholja kosmiczna narodzin, osvajania się z niepojętym wszechświatem; jest tu jeszcze coś radszego w poezji, co trudno bardzo określić lub choćby podać: traktowanie świata zastanego, tak jakby dotychczas nie istniał, hipostazowanie go, jako przypuszczalnego. To gwarantuje bardzo wysoki poziom tej twórczości.

Piękna jest ta odkrywczosć młodzieńca, tworzącego pierwsze poezje w taki sposób, jak niegdyś nad ogniskami w czarnej groźnej puszczy odżegnywano się od ognia. Poeta występuje tu, jakby szaman pradawny, czarodziej, „ukazywacz“ obrazów, dla niego samego napoły tylko rozumiałych. Zdobywczosć, odkrywczosć, groza i zachwycenie—oto tematy i elementy, istotnie

godne tej nowej, religijnej jakgdyby, epiki. Zakończenie książeczki, to rozplynienie tonącej, jak okręty, pieśni w świecie, pożarem dojrzałego lata płonącym, w którym słycać skrzypliwie osie nowych koczowników — jest niezmiernej piękności,
Jesteśmy świadkami narodzin bardzo dużego talentu.

STEFAN NAPIERSKI

D W A G Ł O S Y

(na marginesie artykułu G. Timofiejewa „Wyzwalanie szatana i wyzwalanie anioła” w № 4 (24) „Kamena”).

1

Ciekawa i potrzebna próba przedstawienia stosunku Żeromskiego do zła i poglądów jego na obowiązki etyczne bojowników dobra, dokonana w artykule „Wyzwalanie szatana i wyzwalanie anioła”, doprowadza do kilku trafnych wniosków (w drugiej części), co jest tem dziwniejsze, że niektóre założenia jego są raczej fantazyjne. Nie będę tu kwestjonował słuszności definicji „moralności chrześcijańskiej” ani wskazywał, że „Anna Karenina” nie jest manifestem „tołstoizmu”, który, owszem, był dość „oschłą” doktryną, ani dowodził, że pewne poglądy Korzeckiego w „Ludziach bezdomnych” są raczej odblaskiem Nietzschego, niż Tołstoja. Wskażę tylko, że „Nawracanie Judasza” nie odbija atmosfery 1916 r. (daty pierwszej edycji książkowej), bo było napisane przed wojną, datowane z 1913 r., i już przed wojną publikowane w czasopismach. Cała zresztą trylogia, choć wydana w formie książki dopiero w czasie wojny i po wojnie, jest, z wyjątkiem drugiej części „Charitas”, dziełem przedwojennym, co i bez specjalnych studjów biograficznych dostrzega łatwo czytelnik „Walki z szatanem”

K. W ZAWODZIŃSKI

2

Artykuł interesujący, ale, niestety, autor opiera swe wywody na niewłaściwym rozumieniu Tołstoja-moralisty (nietylko zresztą Timofiejew popelnia ten błąd). Nigdy i nigdzie nie uczył Tołstoj niesprzeciwiania się złu. Cała jego nauka była niezem innym, jak tylko wezwaniem do tej walki (że tu wspomniemy ehooby o artykule pod wiele mówiącym tytułem: „Nie mogę milczeć!”). Uczył zaś Tołstoj „niesprzeciwiania się złemu”, na czem też opierał i swój wykład tekstu ewangelji, gdzie jest powiedziane: „nie sprzeciwiaj się złemu”, podkreślając: nie złu, lecz złemu (człowiekowi) i złem, a nie dobrem. Jakby przeczuwając, że będzie źle zrozumiany, Tołstoj szczegółowo i wytrwale wraca do wykładu swej nauki „o niesprzeciwianiu się” W rzeczywistości najscislej możnaby ją sformułować jako naukę o sprzeciwianiu się złu z pomocą dobra. Co się zaś tyczy bierności Tołstoja, to i ta sprawa niezupełnie jest ścisła. Tołstoj opierał się na wspólnej wszystkim religijnym systematom moralnym nauce o konieczności osobistego wysiłku w walce ze złem drogą doskonalenia się. Odrzucając socjalizm, Tołstoj był tylko konsekwentny: uważał, że nie można uczynić nic dobrego z ludźmi niereligijnymi i wewnątrznie niedoskonałymi, choćby ich zamiary były najlepsze.

LEW GOMOLICKI

N O T Y

ZAPOMNIANY POLSKI MODERNISTA. Pod tym tytułem wydał Stefan Napierski interesującą broszurę o Wacławie Rolicz-Liederze, poecie, lingwiście tłumaczu perskich liryk Abu-Sajida i autorze pierwszego w Polsce „Elementarza języka arabskiego”. Zawistny i niesprawiedliwy los, tak hojnie laurem wieńczący niezasłużonych nieraz wierszopisów, pogrzebał w zupełnej niepamięci świetnego, jak widać z cytowanych w pracy Napierskiego utworów, poetę. Rzecz zadziwiająca: pisarz, zmarły zaledwie przed dwudziestu trzema laty, któremu wielu współczesnych literatów żyje obecnie, staje się mitem, książki jego są białymi krukami, a sylwetę jego rekonstruuje się z trudnością i z szeregiem zastrzeżeń, jakby tworzył przed wiekami. A poeta ten pod wielu wzdłędami był prekursorem, swym stosunkiem do „ruin przeszłości” wyprzedzającym Wyspiańskiego a pod względem wersyfikacji... dzisiejszą awangardę. To też książeczkę Napierskiego, któremu wdzięczność się należy za tę pierwszą próbę rehabilitacji nieuznanego przez krytyków pisarza, powinien przeczytać każdy, interesujący się literaturą. A jakaś instytucja kulturalna, może P. A. L., powinna zająć się wyszperaniem i wyłowieniem, póki jeszcze czas, kompletu dzieł Rolicz-Liedera i udostępnieniem ogółowi wboru cenniejszych jego poezyj.

ŚLUSZNĄ SPRAWĘ PODNOSZĄ K. Wyka w № 51—52 „Tygodnika Ilustrowanego” i J. Kott w № 10 „Okolicy Poetów”. Chodzi mianowicie o nieobecność na rynku księgarskim i niedostępność zbiorów poetyckich tych literatów, którzy wydają je własnym nakładem. Wyka proponuje utworzenie centrali tomików poetyckich (na wzór istniejącej w Warszawie centrali odbitek naukowych „Libraria Nova”), a Kott rzuca myśl, by kolportażem narazie zajęła się „Okolica Poetów”. Rzecz to bezwzględnie ważna i związki literackie powinny tę sprawę załatwić.

„SYGNAŁY”, organ młodych literatów lwowskich, mają być w najbliższym czasie wznowione. Lutowy numer będzie zawierał 12 kolumn. Do zespołu należą T. Banaś, Al. Baumgardten, H. Górski, T. Hollender, St. Kowyn, A. Kruczkowski, K. Kuryluk (redaktor), B. W Lewicki i M. Promiński.

„GDY SIĘ CZŁOWIEK ROBI STARSZY”... „Rokrocznie otrzymują władze niemieckie podania z całego świata, domagające się uwolnienia Ossietzky’ego z obozu koncentracyjnego w Oldenburgu. Rokrocznie nadchodzą z całego świata na adres komitetu Nobla w Oslo podania, domagające się wyróżnienia Ossietzky’ego nagrodą pokojową Nobla. Nagrodzonego tak zaszczytnym wyróżnieniem możnaby wyrwać z obozu koncentracyjnego. Pan Ossietzky miał sposobność opuszczenia Niemiec przed i po przyjeździe do władzy Hitlera. Jeżeli tego nie uczynił, to tylko w nadziei, że w razie uwięzienia go świat się za nim ujmie. Nie omylił się. Świat zaczął krzyczeć i najrozmaitsi pisarze światowi zaczęli się za nim ujmować i to bardzo skwapliwie. Pan ten, który służy swej idei tem, że szkodzi własnemu krajowi, chce otrzymać nagrodę Nobla. Lepiej by uczynił, gdyby sam pomógł w tej ciężkiej chwili swemu krajowi... Albo może byłby ten pan bardziej zadawolony, widząc Niemcy powalone i na więzi uzbrojonych od stóp do głów Francji i Anglii?” — Słowa te nie należą do jakiegos tam pismaka hitlerowskiego, jak możnaby sądzić z ich treści i stylu. Niestety, autorem ich jest świetny pisarz, uznany i ceniony na całym świecie, sam laureat Nobla (Noble-sse oblige!) Słowem — Knut Hamsun. Cynizm czy starcze omroczenie umysłu?

SPRAWA KOLEJKI NA KASPROWY WIERCH. Pod tym tytułem J. Gw. Pawlikowski i S. Kulczyński zamieścili w № 3 „Prosto z Mostu” rewelacyjny artykuł, który odślania kulisy tej afery, dewastującej niewielki skrawek naszych Tatr i kompromitujący tak pięknie rozwiniętą pracę Polski nad tworzeniem parków narodowych i ochroną gór na terenie międzynarodowym.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI (№ 1 „Prosto z Mostu”) ma rację, występując w dłuższym artykule przeciw pisaniu przez niektórych autorów (przedewszystkiem w przekładach z rosyjskiego) wyrazu „Bóg” przez małe „b”, ale argumentacja jego nie przekonywa, a apel w tej sprawie do cenzury traci hysterję. Bolszewicy w tym wypadku są niekonsekwentni,

1. KSIĘGARNIE LEON I S-KA, KIELCE, SIENKIEWICZA 26
(28.XII. 1933)
 2. KIOSK D. SCHÄCHTER, LWÓW, WYBRANOWSKIEGO, 3
(28.III. 1934)
 3. KSIĘGARNIE T. S. L. LWÓW, BATOREGO 32 (27.X.1934)
- Dlaczego nie otrzymaliśmy do tej pory należności za wysłane numery „Kameny“?

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. J. B. w PARYŻU. Dziękujemy za pamięć o „Kamenie“.

P. J. K. w WARSZAWIE. Dziękujemy ze życzenia i nadesłany wiersz.

P. J. P. w WARSZAWIE. Dziękujemy. „Straszną opowieść“ wkrótce zamieścimy.

P. S. P. w WARSZAWIE. Dziękujemy za miłe wyrazy. Wiersz się znalazł. Pójdzie w jednym z najbliższych numerów.

P. LEON P. w WARSZAWIE. Dziękujemy za pocztówkę i książkę. „Świtania“ już drukować nie będziemy. Prosimy o dalszą współpracę.

P. E. BL. w WARSZAWIE. Dziękujemy serdecznie za życzenia dla „Kameny“. Oczywiście, drukujemy poetów bez różnicy przekonań. Z nadesłanych łaskawie utworów nie skorzystamy.

P. J. ŚP. WARSZAWIE. Wiersz „Podplywa strumień“ zużytkujemy w przyszłości. Dzięki.

P. CZ. T. w CHELMIE. Z uprzejmie nadesłanego wiersza nie skorzystamy.

P. S. SZ. w KIWERCACH. Dziękujemy za list i pozdrowienia. Obawiamy się, czy Pan w swych wierszach nie wpada w manierę. Wolelibyśmy zamiast tych impresjonistycznych migawek przeczytać rzeczy Pana o szerszym oddechu.

PISMA I KSIĄŻKI NADEŚLANE

Biuletyn Polsko-Ukraiński № 137 — 142 Chłopskie Jutro, № 1—3 Dekada № 12, Głos Powiatu Radzyńskiego № 8, Lewar № 14 — 1 Miecz № 82 — 82 Miesięcznik Literatury i Sztuki № 1 — 4, Nazustricz № 24, № 1 — 2, Nowa Wieś № 7 — 8 Nowe Czasy № 33—1, Pion № 51 — 52, № 1 — 4, Polonista zesz. V—VI, Polska Ludowa № 1, Poprostu № 10 — 11, Praca Oświatowa № 1, Prosto z Mostu № 52, № 1—4, Sztegn Nr. 1, Tygodnik Ilustrowany Nr. 51 — 52, Nr. 1 — 4 Wici Wielkopolskie Nr. 50, Zet Nr. 16

Jalu Kurek: Woda wyżej Warszawa, Gebethner Wolff 1936

Stanisław Jerzy Lec: Satyry patetyczne, Warszawa 1936

Stefan Flukowski: Dębem rosnę, Warszawa 1936

Stefan Napierski: Zapomniany polski modernista, Warszawa, 1936

Leon Pasternak: Dzień pochmurny, Warszawa 1936

Włodzimierz Słobodnik: Wiersze, Warszawa 1936

Adam Ważyk: Wiersze zebrane, Warszawa Hoesick 1934

Marja Kossak-Jasnorzewska: Zalotnicy niebiescy, Kraków, Koło